NA SZKOLNEJ ŁAWIE



B. Rduch.

Nr. 4. Luty 1937. Czasopismo Gimnazjów Ostrowieckich.

TREŚĆ NUMERU:

Nasz program.

Dużo dzisiaj mówi się o młodzieży, o jej dążnościach, ideałach, o jej stanowisku w sprawach politycznych, społecznych, o przynależnościach partyjnych itd. Świadczy to o tym, że opinia publiczna zwraca dzisiaj baczną uwagę na młode pokolenie, interesuje się nim i pilnie śledzi, w jakim kierunku ono dąży. Ta opinia publiczna jest opinią starszego społeczeństwa, które dobrze zdaje sobie sprawę z tego, że młodzież rychło weźmie udział w życiu państwowym, że wypełni owe „jutro" swoim programem.

I dla nas jest to rzeczą ważną, ważniejszą niż wszelkie inne.

Ten program młodego pokolenia musi być sformułowany jasno i wyraźnie oraz musi odpowiadać dzisiejszym czasom i być zgodny z duchem epoki.

Dziś nie potrzeba walczyć z bronią w ręku, lecz trzeba budować Polskę wewnątrz, a trzeba budować z każdym dniem, stale — nie sporadycznie.

I ten postulat musi być uwzględniony w programie pracy młodzieży.

Tej pracy nie należy pojmować mechanicznie. NIECH ONA OPROMIENIONA BĘDZIE MIŁOŚCIĄ TWÓRCZĄ! Przez taką bowiem pracę młodzież wstępuje na wyżyny ducha oraz zapobiega nieszczęściom i katastrofom, które staczają naród w sromotny dół hańby i upadku. Każda dziedzina naszej pracy winna zmierzać do podniesienia całokształtu kultury narodowej na coraz wyższy poziom oraz do zapewnienia swemu państwu stanowiska mocarstwowego.

Dzisiaj jest chwila przełomowa. Dzisiaj właśnie my, młodzież, musimy się skonsolidować, zespolić, być świadomą swego celu, swych dążeń i wykazać moc i siłę swej zbiorowej, twórczej woli, skoncentrowanej w jednym kierunku. Musimy się wyzbyć tchórzostwa, wszelkiej miękkości, egoistycznych pobudek i ukazać społeczeństwu swoje oblicze przez wspólny czyn, SPOŁECZNY CZYN!

J. P.

Gdynia i Sandomierz.

Gdynia — to było i jest zawsze jakby magiczne słowo. Jego dźwięk napawa nas dumą.

— Oto, czego potrafimy dokonać zbiorowym, solidarnym wysiłkiem.

Kto nie widział Gdyni, ten marzy o niej, by chociaż raz zobaczyć na własne oczy ten wielki port z nowoczesnymi basenami, wielkie miasto, które w ciągu kilku lat wyrosło z nadbrzeżnych piasków.

Gdynia to objaw naszej żywotności, naszych sił i naszych ambicji. Kochamy ją i zawsze będziemy dbali o nią, jako o istotną podstawę naszego niepodległego bytu państwowego.

Państwo nasze podejmuje obecnie nowy wielki wysiłek: budowę centralnego okręgu przemysłowego w okolicach Sandomierza.

„Tak jak ongiś całym programem i symboliką polityczno - gospodarczą stało się słowo Gdynia — powiedział p. wicepremier Kwiatkowski — tak dziś stawiamy nowe hasło w programie uprzemysłowienia, które otrzymuje symboliczną i skróconą nazwę: „Okręg Centralny".

Gdynia jest naszym własnym oknem na świat, strzeżonym przez naszą młodą marynarkę, jest ona jednocześnie miastem dźwigarów i żurawi portowych, wśród których krzątają się nasi „ludzie morza" i tysiączne rzesze robotników.

Sandomierz będzie lasem kominów, rytmem maszyn, odbiorcą surowców, wytwórcą nowych dóbr, tworzonych rękami wielkiego zastępu robotników, techników, inżynierów, splotem torów, siecią drutów, rurociągów.

„Dziś okręg ten stanowi większą pustkę programowo - gospodarczą niż kresy wschodnie" — mówił p. Kwiatkowski.

„Nie jest on i dziś ani wybitnie rolniczy, ani przemysłowy".

„On nie ma fizjonomii gospodarczej, choć w chwilach niebezpieczeństwa, wprost geofizycznie, musiałby się stać ośrodkiem zorganizowanym materialnej obrony".

„A i ściśle gospodarczo okręg ten musi się stać pomostem, który stworzy rynek zbytu dla płodów rolnych okręgów wschodnich i dla surowców i półproduktów okręgów zachodnich, i odbiorcą energii opartej o siły wodne i cieplne gazu ziemnego, a skoncentrowanej na południu".

Elektryfikacja — oto pierwszy cel dla którego ma się odrodzić ta upośledzona dotąd okolica. Wielka zapora wodna w Rożnowie będzie gromadzić olbrzymie zasoby energii, która po przemienieniu w Mościcach na prąd przejdzie linią wysokiego napięcia przez Sandomierz.

Mamy w Małopolsce niewyczerpane i mało dotąd zużywane zasoby gazu ziemnego. Te masy gazu, wyrywające się pod ciśnieniem nieraz kilkudziesięciu atmosfer na powierzchnię, będą skierowane gazociągami do Sandomierza i dalej do Ostrowca, Skarżyska i do wielu innych miast.

Rzut oka na mapę wskazuje, że stworzenie przemysłowego „Okręgu Centralnego" w okolicach Sandomierza będzie równocześnie wielkim krokiem naprzód w dziele unifikacji dawnych zaborów. Leżący na granicy b. Kongresówki i Małopolski Sandomierz, jako ośrodek nowego okręgu przemysłowego, stanie się pomostem łączącym obie te, gospodarczo jeszcze nie dość zespolone dzielnice. P. wicepremier zauważył też, że w rezultacie będzie to pomost łączący rynek zbytu rolniczych płodów ziem wschodnich, surowców i półproduktów dzielnic zachodnich oraz energii elektrycznej i gazu ziemnego, mającej swe źródło na południu Polski.

W związku z tym znacznie się poprawi stan dróg i kolei w tych okolicach. Już obecnie planuje się budowę linii kolejowej Ostrowiec — Radom, aby przez to skrócić połączenie Sandomierza ze stolicą. Planuje się także budowę autostrady Sandomierz — Warszawa.

Lecz najważniejszym względem, który zadecydował o budowie tego nowego okręgu, jest naczelny postulat obrony na-

rodowej. Polsce bowiem potrzebny jest taki przemysł, który zależnie od potrzeby mógłby produkować pługi lub armaty.

Takim ma być i będzie „Okręg Centralny — Sandomierz".

Hasło padnie na żyzny grunt. Bo cała Polska trwa w oczekiwaniu właśnie na hasło, które ożywić może bezczynność, zatrudnić bezrobotne ręce, wyzyskać wiedzę fachowców, dać silny bodziec i wskazać wyraźną drogę.

Skoro projekt ten padł z ust twórcy Gdyni, człowieka, który przekonał społeczeństwo, że umie dotrzymać danego słowa, — to znaczenie jego jest szczególnie doniosłe.

Hasło „Okręg Centralny—Sandomierz" stanie się rzeczywistością, tak jak rzeczywistością stała się Gdynia.

C. Kwiecień kl. VII a G M.

Młodzież szkolna a kino.

Zagadnienie, które pragnę poruszyć, jest tak obszerne, że można by wiele o nim pisać. Ja ograniczę się tylko do dwóch spraw, a mianowicie: na jakie filmy powinna chodzić młodzież szkolna i jakie korzyści może z takich obrazów odnieść?.

Jeśli chodzi o pierwsze pytanie, to stanę tu na stanowisku starszego społeczeństwa, w tym wypadku władz szkolnych, które, moim zdaniem, dobrze uregulowały sprawę filmów dla młodzieży szkolnej.

Młodzież w wieku szkolnym, jako nie dość jeszcze wyrobiona życiowo, powinna chodzić tylko na filmy „dozwolone", albo może lepiej się wyrażając na takie filmy, które przyniosłyby jej prawdziwą przyjemność. Bo powiedźcie Koleżanki lub Koledzy (zwracam się tu do tych, którzy już spróbowali tego zakazanego owocu), czy wynieśliście z filmu „niedozwolonego" coś więcej, oprócz niesmaku i niezadowolenia? Przypuszczam, że nic więcej. Wprawdzie film zakazany może być w gruncie rzeczy dobry lecz zdarza się to bardzo rzadko. Wróćmy jednak do tego, jakim warunkom musi odpowiadać nasz film? Powiedziałem wyżej, że nasz film ma być filmem „dozwolonym". Czuję w tej chwili, że będę poczytany albo za bojaźliwego sztubaczka, albo za moralizatora. Aby nie spowodować podobnych sądów, postaram się uzasadnić swoje stanowisko.

Tak zwane filmy „niedozwolone" są podobno niezbyt wartościowe, czyli nie posiadają żadnej głębszej treści, podczas gdy, film powinien mieć w sobie coś, co wywarłoby na nas głębokie wrażenie. Chcemy filmu, który by nam dał nie tylko chwilę odpoczynku, ale powiększył i umocnił nasze wartości wewnętrzne. Film szkolny musi nas dokształcać i rozwijać nasze dyspozycje psychiczne i uczucia estetyczne, słowem podnosić. Kino bowiem jest tą rzeczą, która chce nam zastąpić teatr. Aby nie być gołosłownym, sięgnę do przykładów. Weźmy taki film, jak „Wyprawy krzyżowe". Jest to obraz, który doskonale odtwarza ducha religijnego średniowiecza, obraz, który naprawdę wzrusza i poucza. Albo film polski „Młody las", czyż nie odpowiada naszym założeniom? W obu tych filmach widzimy ciekawą akcję. Akcja miłosna, bez której trudno pomyśleć o jakimś filmie, jest tylko upiększeniem całości, pewnym dodatkiem (podobno bardzo miłym). Filmy takie narzucają myśli, które pogłębiają nasze dusze. Są one jakby uzupełnieniem tego, co otrzymujemy w szkole, tylko w formie bardzo przystępnej, bo na ekranie. Tak więc nie bądźmy tymi, którzy są bezkrytyczni w stosunku do kina, lecz tymi, którzy umieją go wyzyskać jako narzędzie i w pełni wykorzystać.

St. Banasik kl. VIII.

BOLESNY NOKTURN.

(W 89. rocznicę zgonu Fryderyka Szopena).

...Pełny akord zagrzmiał zwartą masą dźwięków, wstrząsnął dostojną ciszą starego salonu, wybiegł poprzez otwarte okno w noc jasną i skonał zduszony sukienną dźwignią pedału. Krótko trwała cicha pauza, bo, nim przebrzmiały ostatnie echa twardego uderzenia, poczęła płynąć z pod lśniących klawiszów, głaskanych pieszczotliwie wysmukłą ręka, pełna smutku i tkliwości tęskna melodia. Snuła się jak nić pajęcza, leciała w przestrzeń niosąc łzy i ukojenie, szeptała coś o miłości wielkiej, o szczęściu złamanym i zawodzie.

— — — — — — — — — — — — —

Łkają żałośnie srebrne struny, a płacz ich głuchym i złowrogim odbija się echem o ponure ściany, pełne szarych cieni i świetlnych majaczeń. Tląca się świeczka rzuca migotliwy blask na twarz szlachetną, gdzieś ku niebu, w gwiazdy wpatrzoną; oblicze nieziemskie jakieś, natchnione, lecz zarazem bólu i smutku pełne. Smutne i dalekie są myśli Szopena. Błądzą przez rozległe lądy—hen—ku najmilszej Ojczyźnie, lecą na złote pola i łąki, rwą się do dźwięku mowy ojczystej — do Polski.

Płynie z myślą muzyka szumiąc czarno-białymi klawiszami jak potężny i poważny bór nasz polski, pnąc się gdzieś w górę, w wysoki wiolin pieśnią podniebnego skowronka, tchnąc ciepłem polskiego słońca. Geniusz zaklął swą potęgę niezmierzoną stary klawikord, zamienił go talentem swym cudownym w skarbnicę i czarowny głos swych myśli.. Lecz co to? Złowrogi pomruk basowy łamie i głuszy cichy śpiew miłości ku Ojczyźnie, jęczące, fałszywe, zda się, akordy napełniają leśny szum krzykiem bólu i trwogi... Białe ręce zrywają się do coraz szybszego biegu po lśniących klawiszach, pędzą jak szalone z góry na dół i znów z powrotem targają i rwą gamy dźwięków, pełnych bezdennej i bezsilnej rozpaczy...

...Oczy Fryderyka, szerokie przestrachem, patrzą gdzieś daleko. Wizja straszna przesuwa się przed skołatanym umysłem. Widzi to, co TAM się dzieje. Widzi...

...Wściekłością pałające dzikie twarze Moskali, błyskające ostrza tnących szabli, krwawe rany bezbronnych, trupy, pożary... Słyszy gdzieś z daleka głos pobudki: nadbiegają barwne mundury powstańców, ścierają się z czarną masą motłochu, biją rozpaczliwie — zwyciężyć chcą w imię świętej sprawy — ale... Straszny obraz przysłania mu mgła boleści. Urywa się gdzieś w środku potężna melodia i niknie wraz z myślą. Wsparł Szopen skołataną swą głowę o białe zimne klawisze. Łkanie z kaszlem złowrogim pomięszane wstrząsa całą jego postacią..

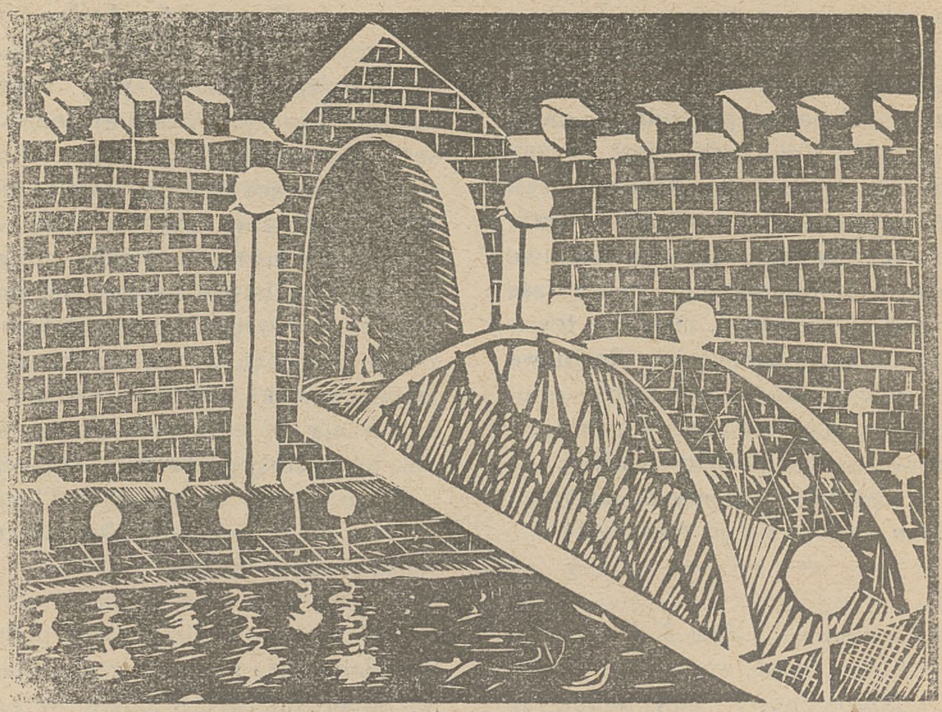
...Czyż chciał wyjeżdżać stamtąd? Czyż myślał choć przez chwilę o opuszczeniu zamordowanej Ojczyzny, której był tak potrzebny? Nie, nigdy! Zmusili go do tego przyjaciele, otoczenie tłumacząc, że talentem swym więcej zrobi dla kraju, niż schorowanym ciałem. Posłuchał... wyjechał do Paryża, by już nigdy nie wrócić. Pamięta dziś jeszcze, jak walczyć musiał o sławę kryjąc ból duszy pod maską wymuszonego uśmiechu.

Prędko odniósł walne zwycięstwo nad swymi przeciwnikami, ujarzmił czarem swej muzyki największych ludzi — zdobył sławę. Czy cieszył się z tego? Czy przyniosło mu to radość, że nazwisko jego było na ustach całego Paryża. Nie. Tu był ciałem tylko, duszą całą pozostał tam, w Polsce. Pracował niestrudzenie wśród murów wielkiego miasta: tworzył swoje polonezy, mazurki, walce, nokturny—wszystkie tchnące gorącym duchem Polski i o Niej śpiewające. Chciał pokazać muzyką swoją światu całemu, jaka jest jego Ojczyzna i jak niewinnie teraz cierpi...

— — — — — — — — — — — — — —

Świtało już, gdy Szopen obudził się z bolesnego snu wspomnień. I znów popłynęła z pod jego palców miękka melodia. Inna jakaś była, pełna pogody i proroczej wiary w lepszą przyszłość...

Z. Precht kl. VII.



I nagroda 3. konkursu „Szkolnej Ławy"

Ludzie z za mostu...

(FELIETON).

Wiele słyszy się wśród naszych kolegów „gadek" na temat ostrowieckiej „inteligencji". Gdy kol. Kukunamuniu spytał się p. Stultuskiej z za mostu, kogo ma na myśli mówiąc o inteligencji Ostrowca, ta odpowiedziała:

— Jakto? To pan nie wie? To są ci, którzy mieszkają z tej strony mostu. Ludzie z towarzystwa! Większość z wyższym wykształceniem!

Pewnego dnia słuchając muzyki tanecznej z Warszawy (oczywiście w Ostrowcu przez radio) przymknąłem oczy i zacząłem sobie przedstawiać różne obrazy i obrazki z życia „inteligentnych rodzin". Marzyłem...

— — — — — — — — — —

Piękna a przy tym — o Fenomenie! (polski bożek zdziwienia) — „inteligentna latorośl" taszczy do kina „Marzenie" jakąś „armatę" ...a może nawet aparat podsłuchowy... Wieczór ciemny, więc dobrze nie widać, co to jest. Oczywiście idzie (panienka, nie armata) w towarzystwie „dobrze prezentującego się" ucznia i na „najlepsze" miejsca — na balkon. Gdy zasiedli, ona wystawiła dwie lufy i... okazuje się, że to była nie armata, ale przedpotopowa lornetka.

Obok tej pary spostrzegam znajomą koleżankę, która daje pokaz telegrafu bez drutu, co „publice" bardzo się podoba, bo ogólnie zwraca na to uwagę. Gdy jednak „ z powodu podziw" pewien kolega „szepnął": „pieruna", obrazek znikł mi z przed oczu...

— — — — — — — — — —

Pięknie umeblowany salonik. Panuje zupełny mrok, ale panie, zatopione w „rozmowie", nie widzą tego.

— Ją można uważać za przedstawicielkę dziewczyn z miasta. Tak stroni od naszych dziewczynek i jest takim dziwakiem...

Gdy padło słowo „dziwakiem" Drgnąłem ... (mnie też tak nazywają). Obrazek znikł...

— — — — — — — — — —

Kilka młodych par tańczy... To prywatka u jednej z koleżanek. Tańczą mazura... Każda para „na swoje kopyto"... przepraszam.. chciałem powiedzieć: „każda para inaczej". Taki taniec jest pewnie wynikiem roztargnienia, bo każdy kolega jest zatopiony wzrokiem w oczach (a może i sercu?) swej tancerki do tego stopnia, że czasami — pominąwszy już nawet czas trwania tańca — zapomina, iż jest w towarzystwie. Tańczący rozmawiają... Rozmowa ich stylistycznie i jeśli chodzi o formę „musi" być piękną, więc nie zawsze zważa się na prawdziwość słów — tym bardziej, że „bujanie w obłokach" należy do przyjemności dobrze wychowanego towarzystwa.

— — — — — — — — — —

Rok 2037...

Przez Kamienną na Alei 3. Maja, która teraz jest ulicą Ślepą, wznosi się olbrzymi most żelazobetonowy. Cały widok za nim zasłania bardzo wysoki mur, który otacza Ostrowiec-Optimus leżący po tamtej stronie Kamiennej. Bramę do tej krainy cudów otwierają tylko robotnikom (rano i wieczorem), którzy przechodzą do fabryki z zawiązanymi oczyma oraz każdej chwili mieszkańcom Zamurza.

Po obu stronach mostu na dwóch kolumnach stoją strażnicy... Zadęli w sygnałówki... W kilka chwil zgromadziły się po obu stronach Alei nieprzejrzane tłumy ludzi... Patrzę na most...

Otwiera się brama i wyjeżdża z niej w pięknej limuzynie p. Karol Ibetson z p. Józefem Raubeckim. Wszystkie oczy „ludzi z miasta" utkwione są z zachwytem w... pięknej, kwiatami przybranej limuzynie, którą „genialni" ludzie Zamurza wyjechali na spacer. Wszyscy krzyknęli potrójne stereotypowe: „Vivat" — po czym powoli ze spuszczonymi głowami rozeszli się do swoich zajęć.

Domański Z. kl. VII.

Nagrodę autor oddaje do dyspozycji Redakcji.

Nieście pomoc biednym!

Dwa światy.

Karnawał. Urocze pary suną w takt hałaśliwej muzyki. Wodzirej donośnym głosem zapowiada różne figury. Po kątach słychać syczące szepty i owe beznadziejnie głupie, sztuczne chichoty. Na wszystkie usta osiada uśmiech płytkiej szczęśliwości. Wszyscy się bawią, wszyscy są zadowoleni. Sala balowa wygląda jak cudowny domek z bajki; migocą w niej sztuczne, barwne, jasne światełka. W bufecie i sali restauracyjnej leją się strumienie drogich win i wódek, nikną stosy pomarańcz, słodyczy i ciast.

I w tej na wpół „zalanej" atmosferze słychać przez całą noc takty walców, szlofoksów, tang itp.

— — — — — — — — — — — — —

Cicha, nędzna, oświetlona małą świeczką izdebka. Na ścianach szron. Małe okienko po prostu zakute lodem. W kącie przy malutkim kominku troje dzieci: chłopiec w wieku lat dziewięciu, dziewczyna wyglądająca na lat przynajmniej 10, a w rzeczywistości mająca zaledwie 7 i mały pięcioletni Staś.

— Mamusiu — rzekła Zosia do matki, która przygotowywała kolację składającą się z herbaty i kawałka suchego chleba — mamusiu! kiedy tatuś wróci i przyniesie węgla. Mnie zimno, zimno... Na ścianach szron. Dlaczego my marzniemy?

Matka pomyślała chwilę, w końcu rzekła: Cicho kociaku! Tatuś poszedł do magistratu, więc przyniesie węgla, chleba, a może dostanie i pracę. Tymczasem wy zjedzcie kolację.

Podała wszystkim po kubku herbaty i kawałka chleba, a sama zajęła się sprzątaniem, aby zapomnieć o jedzeniu.

Dzieci zaczęły jeść, lecz najmłodsze z nich, Staś, zaczął się krzywić i spytał: — Mamusiu, dlaczego herbata taka gorzka? Ja dziś piłem u Władzia słodką herbatę, a my stale pijamy taką gorzką.

Matka nic nie odpowiedziała. Powiodła smutnym wzrokiem po główkach dzieci i skrycie otarła łzę.

— Mamusiu! — zaczęła znów Zosia — dlaczego inni mieszkają w takich dużych domach, a my w takiej małej izdebce? Dlaczego inne mieszkania takie oświetlone, a nasze takie ciemne?

Matka coraz częściej ocierała łzy.

Dzieci kończyły jeść, lecz Staś, który mimo tego, że dostał tyle chleba, co i jego brat Oleś, począł prosić o chleb.

Tu już biedna matka nie wiedziała, co począć, gdyż nie miała ni kawałka.

Dopiero Oleś, który jadł wolno i zjadł zaledwie połowę swego chleba, oddał mu swoją cząstkę. Po kolacji Staś zaczął się grzać przy dogasającycych węglach.

Naraz wszedł ojciec.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu w niemym zapytaniu. On zdjął lekki, wytarty płaszcz, usiadł, popatrzył po wszystkich, a potem wziął dwoje najmłodszych dzieci na kolana i na wpół z płaczem rzekł: — Czym ja was moje pędraki, nakarmię, czym ogrzeję?...

I nagle w tej nędznej cichej izdebce rozległy się dźwięki, lecz nie muzyki, tylko cichego, chóralnego płaczu.

Wszyscy dobrze zrozumieli, że ojciec nie dostał ni chleba, ni węgla, ni pracy.

Mons. kl. VIII.

Ach, być marynarzem!

Polskie morze. Wybrzeże polskie. I oto tam—hen na wzburzonych falach, na czarnych mieniących się tysiącem barw w promieniach zachodzącego słońca bałwanach, gdzie chciwe morze dosięga błękitu niebios, coś majaczy, jakiś cień wydobywa się z głębin drgającego cielska. Wdziera się zwolna na błękit wyżyny i brudząc je sunie długim czarnym obłokiem, ginąc i rozpływając się gdzieś na zachodzie. Chociaż... nie! Nie ginie, bo oto tu coraz bliżej, coraz silniej coś rośnie, zbliża się zeskakując z bałwana na bałwan, z fali na falę, potężnieje wyrzucając z gardzieli siwe kłęby dymu. Widać jakieś linie, jakieś tyki wysoko strzelające w górę. To maszty, a tam na przodzie flaga polska biało-czerwona łopoce jak orzeł na uwięzi chcąc wzlecieć w górę. Już zbliża się —już go widać— okręt polski. Widać jak kraje, jak pruje swymi piersiami, swym kadłubem, jak wbija się w ruchliwą masę wód. Miażdży, rozbija pieniące się bałwany, pozostawiając za sobą długi grzebień piany i dziki taniec zdziwionych i pokonanych fal. Sunie majestatycznie naprzód, jak łabędź lekki i z winny. Polski okręt, morze polskie, port wspaniały i dzielni śmiejący się polscy marynarze. Czarne, ogorzałe twarze, spalone wiatrami południa.

Silne, muskularne postacie uwijają się pilnie i zwinnie po pokładach okrętu. Praca ciężka, niebezpieczna, poniżej bowiem okrętu piętrzy się cały ogrom bezdennego morza. Marynarz jednak tym się nie trwoży. On śmiało patrzy śmierci w oczy, urąga niebezpieczeństwom, igra z bałwanami. I tu teraz na zbliżającym się okręcie widać naszych zuchów. Oczy pałające radością długo błądzą po ojczystym wybrzeżu. Na widok ziemi i spokojnych białych wiosek rozczulają się twarze „synów morza". Na marsowych twarzach maluje się radość; piersi szeroko wciągają ojczyste powietrze, a usta szepcą słowa powitania:

Tyżeś to Ojczyzno droga,
Ziemio ojców ma miła!

Ach, być marynarzem! Bujać po burzliwych oceanach, ujeżdżać wściekłe bałwany, zwyciężać burze, nieść rodakom słowa pociechy rozsławiając imię Polski, zaprawiać się w niebezpieczeństwach, aby potem na zew „Ojczyzna w niebezpieczeństwie" stanąć do walki i zwyciężyć lub umrzeć!

Ach, być marynarzem!...

„Kolejarz" kl. VII.b.

I nagroda w 2. konkursie „Szkolnej Ławy"

Czemuś ty smutny?

Tyle jest w tobie smutku i rozpaczy,
Ile piorunów w grubej ciemnej chmurze.
Tyle rozwianych nadziei majaczy
Przed cichym sercem, skołatanym w burze.

O, duchu biedny! czemuś tak za młodu
Obniżył drogę swoich wyżnych lotów?
Czemuś bieg wstrzymał myśli swych pochodu
nie uniknął rozpaczliwych grotów?

Czemuś ty smutny? Czyś szczęście utracił
Jak drzewa liście w końcu października?
Snadź los cię zawiódł, żeś ludzkość wzbogacił
O jeden więcej przykład pustelnika?

Wszak przedtem w górę wzbijałeś się pędem,
Ku słońcu-wiedzy puściłeś się w drogę,
A myśli twoje biegły długim rzędem
Aż do stóp Pana, niby wonie błogie.

A teraz głowę zwiesiwszy rozmyślasz
Przez długie, ciche, wieczorne godziny.
Czasem wesołych kolegów spotykasz
I czarne oczy kochanej dziewczyny.

Lecz czasem muza natchnienie ci daje
I czoło marszczysz, oczy twoje świecą,
A słów potoki i fantazji raje
Na biały papier strumieniami lecą.

I tak się smucisz przez dnie i miesiące,
A życie płynie z szumem w koło pieni,
Lecz ty, jak komar, na kwiecistej łące
Śpiewasz żałobną piosnkę wśród zieleni.

E. Stojek kl. VII b G. M

Śnisz mi się...

Śnisz mi się inna, całkiem inna—
Nie taka byłaś w swej przeszłości:
Niezgoda pełna, albo zimna,
Kirem okryta cnej żałości.

Śnisz mi się inna, całkiem inna—
Nie cudzoziemska, nie kłamana,
Lecz wiary pełna i niewinna,
Żołnierską służbą pracowana.

Z szumnych haseł Twa szyta szarfa!
Tam Cię kupczyki nie uwabią,
Bo z nieprawości ich odarta
Kładziesz się w poprzek ich jedwabiom.

Wytwór tandety i partaczy
W bankrutcwo spychasz obojętna,
Aby cierpliwą ręką pracy
Dobywać żywych znaków piętna.

Śnisz mi się od tej tak odmienna:
W naród swój ufna, silna w wiarę,
Miłością twórczą. tak promienna
I jedną mająca ofiarę.

Śnisz mi się przyszła, wielka, nowa,
Opromieniona blaskiem chwały,
Zwycięska w boju, mocarstwowa
I podziwiana przez świat cały.

Daremnie pienią się kawiarnie,
Plotkują wiece, szumią bary
Bo świętej drogi Twej latarnie
Bezpiecznie wiodą przez opary.

Śnisz mi się mrówczo pracowita,
We wsi i w mieście zjednoczona,
Szatą jedności tej spowita
I do wielkości przeznaczona.

Tam Polak w Tobie nidy ciasny
I biedny i głodny nie będzie,
Bo plaster miodu Twego prząśny
Miast trutniów—znojny rój obsiędzie.

Do świętej tej i wymarzonej,
— Wśród chwały i blasku powodzi
Do tej przez wszystkich w snach wyśnionej
Zwartym szeregiem idą Młodzi...

M. Ruszkarski kl. VII.

Gdy na duszę padnie trwoga...

Gdy na duszę padnie trwoga,
Nie wiem, co jutro mnie spotka,
Spoglądam, gdzie Matki Boga
Twarz świeci słodka.

A kiedy rozpacz, cierpienie,
W serce znękane się wpija,
Wołam w Niej widząc zbawienie
Pociesz Maryja!

Gdy znów ma wiara się chwieje
I z myślą własną się zmagam...

W Maryi mając nadzieję
O wiarę błagam.

Więc życie, serce i duszę,
Tobie, o Matko jedyna,
Oddaję! I z wiarą proszę
Prowadź do syna!

Modlitwą, smutkiem, radością,
Wszystkim, co życie me zwija,
Czczę Cię wciąż szepcąc z miłością
Ave Maryja!

Plewa W. kl. I. a.

Wyróżnienie w 1. konkursie „Szkolnej Ławy”.

ZEMSTA ZA ZEMSTĘ.

Noc. Cudna noc lipcowa. — Las.
Na tęczowej harfie duszy gra srebrem — księżyc.
Koi melodią cichą, a zawrotną.
Noc idzie — cud rodząca.

Cygański obóz kładł się lasem w jasnym śnie. Śnił sny gorące, cygańskie.

Płachty namiotów nurzały się w blasku ogni, szkarłatne jak krew grająca na słońcu. Na mchach, na kołach, na wozach drgała zorza płomieni gorąca i mgły sie dymiły oparne. Górą, z kłębowiska chmur czarnych rwały się błyski gwiazd i gasły coraz w przepaściach ziemi. Nastała wielka cisza — królewska cisza.

Cisza? Królewska cisza? —

— Nie!

W tej ciszy nie było ciszy. W tej harmonii dźwięków, drgały czasem dysonanse bólu ciche, a tak straszne, że noc od nich bladła, księżyc oblewał się srebrnym potem.

Grały w tej nocy i straszne melodie.

A rwały się z cygańskiego obozu...

Obóz zataczał krąg jasny. Środkiem, z mchów dostojnych, mchów wiecznych wyrastały koła królewskiego wozu, strojnego w gryfy skrzydlate, złocone. Wóz pański, jaśniejący, co królował gryfami swymi lwom, orłom i sokołom innych wozów, prężył się w uścisku krwawym z ogniami, pławił się a nurzał w objęciach rozbłękitniałych dymów.

Blask siał na zewnątrz.

Do głębi otwierał się czarną plamą drzwi. W głębi kładły się maty bezładne; na nich — strzęp krwawy, cieknący krwią.

— Odgadłby to kto w tym strzępie dziecko królewskie?...

— Leżał królewski syn, niby ten kwiat podcięty w locie rozkwitu; leżał nieruchomy jak posąg z brązu kuty. Z zaciśniętych ust wyrywała się niekiedy skarga chrapliwa, jęk, skowyt niemal, gdy nabrzmiałe rany rozdymały się lub krzepły, drąc w strzępy bólu świadomość rannego. Leżał — przedwczoraj pławiący się w życiu, dziś — jak ten ptak z połamanymi skrzydły.

Był ofiarą walki cyganskiej bandy ze Złocieniami, wsią liczną, bogatą, rozrosłą.

Walki krwawej, nierównej, zajadłej, walki o skradzione rzekomo przez Cyganów konie.

O konie, które znaleziono nazajutrz gdzie indziej. O kradzież posądzono Cyganów.

Rozdygotane, dyszące żądzą zemsty piersi, wrzące wściekłością, a przekonane o słuszności swej sprawy nie bawiły się w sprawdzania, dochodzenia.

Wściekłość zemsty rzuciła nimi, jak wicher liśćmi rzuca w przepaściste nieba.

Rzekłbyś — burza zerwała się, chwyciła obóz w kłąb splotów i cisnęła gdzieś daleko.

Nie pomógł opór. Bezsilny był.

Zostało po nich pole nagie jak po zamieci. Zostały na tym polu ciała, z których wyrwały się dusze.

Trupy ... ranni...

Z cygańskiej strony, śród innych, poszarpany syn królewski.

— Oj, losie, losie!

— Czemuś to zwinął skrzydła nad dolą rozkwitającego życia?

Miruto, syn królewski, nie mógł sam zejść z pola. Zniesiono go. Zdało sie, że

duch już z niego wylata, skrzydła rozwija do lotu.

Lecz żył...

I leżał Miruto na matach krzepnących od krwi, z włosami, zlepionymi nad czołem w strąki krucze i rwał się w bólu ogromnym, szarpiącym każdy błysk czucia.

A biegły ku niemu nabrzmiałe niepokojem spojrzenia bandy całej — spojrzenia, rozognione od miłości, rozżarzone drżeniem lęku.

Nad Mirutą czuwali ojciec jeno a matka. Matka, szarpana, rozdzierana od oślepłej rozpaczy, matka, ktorej pocałunki a muśnięcia splotów kruczych włosów wiały ukojeniem, matka, której oczy, zawalone bryłami łez, rozpaczą płakały.

A ojciec chmurny, posępny, pański, hamujący się mocą woli, by nie rozszlochać się jękiem niemeskim, — spojrzeniami wiernymi jak psy śledził każdy dech syna.

Syn jęknął. Ojciec i matka drgnęli.

Miruto uniósł z wysiłkiem bezwładne oczy i spod ciążących jak ołów powiek wpił się spojrzeniem w krąg księżyca krwawo-srebrny. Księżyc słał mu spojrzenia miłosne, rozkochane.

— Matko!

Matka szybko zniżyła się nad szeptem syna.

— Ja umrę... matko?

Coś wżarło się szponami w serce tej matki, szarpnęło, rozdarło i zawirowało oślepieniem; przed oczyma zamigotały jej płaty krwawe, czarne i znowu krwawe. Chciała coś odrzec, lecz za gardło zdusił ją skurcz jakiegoś wezbranego żalu i tylko z oczu bluznęły jej łzy.

— Nie umrzesz, synu! — zaszumiały nad Mirutą usta ojca, stężone w hamowanym bólu...

— Ty mnie, ojcze, nie dasz śmierci, prawda?

— Nie dam, synu! — przy czym oczy błysnęły mu dziko.

I znowu cisza, w której jeno las zawodzi szumy złote...

— Ojcze!

— Co synu?

— Prawda, jak cudnie drzewa grają?

— — — — — — — — — — — — —

— Prawda, matko?

— Oj, prawda, synu, prawda!

— — — — — — — — — — — — —

Las...

Z nad mchów zrywają się szlochy.

— Ojcze!

Ojciec się nad Mirutą pochyla w niemym zapytaniu.

— Niech mi zagrają skrzypki nasze...

—... Dumki, romanse, czardasze.. zakrzyknął król cygański.

W krąg królewskiego wozu wykwitł tłum barwny: Cyganki krasne, Cygany bijące w oczy powabem dzikości. Rzekłbyś — stado motyli mieniących się tęczą obsiadło trawy leśne.

— Zagrajcie mu!

— — — — — — — — — — — — —

Cisza...

W ciszy rodzą się westchnienia zaczarowanych skrzypek. W ciszę się sączą dźwięki srebrne, złote — tony tęczowe.

Melodia nocy.

Potężnieje, rozrasta się, rozkwita w cud jasny.

Cud pieśni cygańskiej.

Śmigłe smyczki drżą na strunach, wpijają się w melodię niepokalanym uściskiem. A ze strun bucha krew, radość, życie, miłość, moc.

Ze strun się snuje na kwiaty srebrny szmer westchnienia.

Rozdygotał się las od żaru cygańskich pieśni.

Rozpłoniła się noc jasna.

Buchnęły jaśniej ognie krwawe...

Zakipiała w Mirucie krew cygańska, krew gorąca. Oczy ogniem spłonęły. Dusza prężna, dzika zaskowytała w nim do życia.

Zdawało mu się, że siły w nim kipią warem parzącym zmysły, że dusza się w nim pręży mocarnie jak w oślepłym,

miłosnym uścisku.

Uniósł się z wysiłkiem na mały.

Ze skrzypków buchały skry. Grano czardasza — taniec krwi, melodię zmysłów, gorącą pieśń..

Rozkołował się czardasz błyskawicą wiru. Drzewa, co pierwszy raz snuły sen taki zawrotny, zaszumiały żarem.

Zagrała w Cygankach krew, chlusnęła płomieniem i rzuciła je w taniec ognia, taniec oślepienia, rozdygotania, rozpłomienienia.

Przed oczyma kłębiły się jeno olśniewająco wszystkie barwy tęczy.

Miruto uniósł się całkiem prawie; pierś w nim falowała ogniem, oczy sypały skry. Rękę wyciągnął, błysnął w uśmiechu białymi zębami. Zawrzała w nim moc namiętna, zawrzał ogień cygański, co bucha pijąc muzykę.

Odrzucił w tył głowę. W piersiach bulgotały nieokreślone, sprężone płomieniem pragnienia. Ręką wpił się w gryfy złocone, zaczerpnął powietrza tchem pełnym i ku grajkom błysnął.

— Zagr...

I urwał.

Ustami buchnęły mu płaty krwi, twarz ścięła się bladością, palce, zaciśnięte w skrzydła gryfów, puściły. Jak szmat bezwładny zsunął się z wozu w mchy, w mgły...

W ten jeden błysk oczu...

Urwała się melodia, jak przecięta na dwoje. Zatrzepotał powietrzem krzyk przestrachu. Skoczyli doń, chwycili, podnieśli. I skrzepli wszyscy w bezruchu, a lasem powiała cisza. I jeno jeszcze gdzieś hen stygło echo rozpalonego czardasza.

Miruto legł w mały pławiąc się w krwi ciepłej. W kącikach ust krzepła mu krew, na bladych licach stygło cierpienie.

Matka przywarła ustami do nóg jego, wpiła się w nie, by nie krzyczeć i leżała bólu pełna.

Ojciec stał nad nim, skamieniały w bezczuciu. Oczy mu w bólu zastygały.

Drgnął nagle.

— Konia!

Zarżał mu rumak płomienny, piękny jakby rzeźbiony z zachwytu.

Skoczył na siodło, lejce zebrał w gaści, spiął konia, zawrócił w miejscu i pognał jak wicher. Tylko mu błyskały drzewa grzęznące w księżycu.

— — — — — — — — — — — — —

Miasto tonęło we śnie.

Spał w tej ciszy i mały podmiejski domek doktora.

Naraz grzmot nim zatrząsł...

Grzmot jeden, drugi, trzeci...

Szyby zabrzękły rozgłośnie.

Cisza... I znowu grzmot...

I znowu chwila ciszy... Światło blade..

— Kto tam?

— Otworzyć!

— Kto?

— Otworzyć!

Głos nabrzmiały rykiem wściekłego bólu... Otwarły się drzwi. Doktór osłaniając ręką chybotliwy płomień świecy wpatruje się przerażony w czarną otchłań nocy snującej się za drzwiami.

Na progu stanęło widmo jakieś, upiór zda się. Z piersi, wzdętych oddechem, rwie mu się zgrzyt chrapliwy:

— Do... chorego...

Doktór wpatrzył się w rysy straszne, obłąkane dziwnym szałem i zadrżał. Cofnął się.

Przerażone oczy wbił w zjawę.

— Nie pójdę!... Za nic!

— Pójdziesz!

W nagłym porywie wściekłej siły upiór chwyta go w ramiona, unosi w górę, wybiega na dwór i skoczywszy na koń popędził.

— Gdzie?

— Gdzie? — Może do piekła, a może w niebo...

Kopyta dzwonią na bruku.

— — — — — — — — — — — — —

Las. Księżyc. Gwiazdy.

Obóz...

W las wdarł się wicher jakiś: od pędu błyska za nim, grzmot się targa.

Koń to — nie wicher, szatan — nie koń.

Ogniem kopyta potrzaskał mgły. Leci jak piorun.

Obóz tuż, tuż... Jeszcze staje, jeszcze...

Nagły błysk wędzidła i koń — piorun zarywa się w ziemię.

Straszny jeździec drży czegoś.

— Co tam?

Żadnej odpowiedzi.

Jeździec — upiór skacze z konia, dopada jednego z cieni i wstrząsa nim. Głos od obłąkania aż straszny:

— Co tam?...

I znowu cisza. Ale oczy rozgorzałe czytają w tym spuszczeniu powiek, instynktem odgadują odpowiedź.

Ojciec przeniknął śmierć syna.

— Syn?...

A cień zaszumiał: — I ... pani...

Domyśleć się raczej, niż dosłuchać tego głosu.

Zawirowały królowi przed oczyma piany krwawe; zatoczył się w rozdartym bólu. Padł na mchy, twarz w nie wgniótł i kąsał je, kąsał...

W obłędzie bólu...

Czas się nad nim przewalał.

W krąg niego mknęły w toń nocy żywe cienie.

Nagle podniósł się.

Spokojny był niby, a straszny.

— Miłosz!

Stary, spalony wichrem Cygan wysunął się pokornie naprzód. Król mu coś w ucho szeptał, szeptał...

Aż Miłosz skinął się i skinął głową.

— — — — — — — — — — — — —

Chrapliwie zadął róg.

— W drogę!

I stanął obóz, gotów.

Zakwitły pod płachtami bud stroje barwne jak pęki kwiatów.

Król stanął na wzgórzu wyniosły, a wiatr mu łopotał haftowaną koszulą. Wrósł w strzemiona i wzrokiem popłynął po wozach. Oczy mu się zaszkliły.

W tył za nim stali konno Cygany młode, smagłe, krzepkie, rozrosłe. Na brązowych obliczach paliły im się oczy dzikie.

Znów zadął róg.

Sznur wozów szarpnął się, sprężył, wparł w drogę i potoczył. Na czole jechał Miłosz.

Królewski orszak stał w miejscu. Żegnały go ciekawe oczy nie śmiejąc pytać, dlaczego zostaje.

Krasna wstęga wozów wiła się wolno, aż stopiła się w błękit lasu...

A król cygański w strzemionach stanął; oczy mu dziko spłonęły.

— Za mną!

Zawrócili za nim konie, posłuszni jak psy.

I szli jak psy cicho...

— — — — — — — — — — — — —

Już w jasnym blasku księżyca błysnęła oczom Cyganek węgierska strona.

— Hej, witajże puszto zielona, przewiązana tęczą.

Krew zerwała się do lotu jak ptak.

Ciało ogniami spłonęło.

Tylko... gdzie królewskie Cygany młode.

Gdzieś w dali zadzwoniły kopyta, grad kopyt. Zrazu cicho, potem grzmotem.

Nareszcie... pędzą, gonią... dognali.

Błysnęli mimo wozów; rzekłbyś — wicher oszalał i pędzi. Oślepłe od pędu konie spływały w pianie.

Zapłoniły się od niej kamienie.

— W konie!

Świsnęły baty. Wozy szarpnęły się i runęły lawiną.

I rwali, aż konie poczęły się słaniać, dusić w chmurach pary.

— Królu! — szepnął jakiś cień.

Cisza.

— Gdzie król?

Milczący jakiś jeździec wskazał na cień wiotki, podtrzymywany na koniu, zlanym krwią, przez dwu Cyganów.

— Król?...

— Spełnił zemstę i wtedy dopiero rozpękło się w nim serce. Ostatek życia zemstą kipiał.

Wieźli serce zagasłe.

Miłosz zdjął czapkę; milczał. Oczy obrócił hen, w dal siną...

Tam żarzyła się łuna jasna jako zorza, ale bardziej płonąca, stokroć krwawsza. Świt pewno...

— Nie! to nie był świt...

To się paliły Złocienie w krwawym odwecie za śmierć królewskiej rodziny. Płomienia łuna tężyła się i piła ogrom z horyzontów. Zarumieniła stoki nieba swym żarem...

— Zemsta za zemstę.

— — — — — — — — — — — — —

A węgierska strona coraz bliżej, coraz bliżej...

Po kamieniach dźwięczą koła, dzwonią kopyta.

— Hej, puszto!

Wieziemy ci dar wspaniały, dar królewski!

— — — — — — — — — — — — —

Jechali...

— A wieźli ze sobą
trzy ciała ...
skrzepnięte ...
królewskie ...

Młodzik Mieczysław kl. VII.

Wspomnienie z Białowieży.

...Wchodzimy do restauracji mieszczącącej się w parku. Wszyscy myślimy jednakowo:

— Jak tam będzie z kolacją? Bo w Wilnie było dobrze!

Po chwili siadamy wszyscy do stołów. Miny i żołądki — zgłodniałe. Czekamy minutę, dwie, dziesięć, kwadrans... Wreszcie przychodzą kelnerzy, a między nimi jakaś tęga, niebrzydka, może pięćdziesięcioletnia kelnerka. Niosą... ale co?.,. Coś w rodzaju barszczu — to pierwsze danie. Troszeczkę chleba, herbaty — to drugie danie.

I z pięć dań jeszcze podano, ale tym, ktorzy osobno zapłacili. — I to ma być kolacja?

— Tak, tak — odpowiada jakiś głos za nami. Obracamy się. Aha, to kelnerka, ta tęga.

Ktoś złośliwy palnął:

— A pani, to chyba z powietrza białowieskiego taka gruba!

Wszyscy w śmiech. Widzimy, że wcale się nie obraża... Może i prawda.

I tak skończyła się nasza „kolacja", tak też rozpoczęły się nasze „występy".

Nagle cisza... Kolega Himel Haskiel podjął się funkcji spikera i energicznie mówi:

Uwaga! Uwaga! Teraz kolej na żarty ógólne, a więc na część wesołą... Kiszki marsza grają, ale to zdrowo... Więc teraz powie ktoś nowinę... Dobrze uważać!

— Prosimy, prosimy! — odzywamy się chórem.

Jeszcze chwila ciszy, uwagi i wreszcie odzywa się p. Fizyk.

— Uwaga! W związku z przebywaniem w Puszczy Białowieskiej odbędzie się pod moim kierownictwem wielkie g r z y b o b r a n i e!

— Zgoda! — krzyczą wszyscy.

A gdy po chwili uspokoiło się nieco, spiker Himel wstał z krzesła; chce zapowiedzieć jakiś występ.

Ciekawość ogarnia nas jeszcze bardziej.

Co teraz nastąpi? — pytamy się.

Wtem rozlega się po sali głos Himela Haskiela. Przemawia z iście włoskim akcentem.

— Otóż teraz właśnie zostanie odśpiewana aria Cavaradossi'ego z „Tosci" Pucciniego. Wykonawcą będzie tenor „scen domowych", zarazem nasz kochany redaktor, zacny Jaś. Przy fortepianie zasiądzie ten, co zawsze.

— Brawo, brawo!... Czekamy — ryczymy z całej siły.

Ale tenor nie chce jakoś wystąpić. Wymawia się, że ma chrypkę; że go żubry przestraszyły...

Jak nie chce, to nie... Mamy dosyć tenorów.

— Zaśpiewa przeto „chłopak z oko-

lic Waśniowa", „Grzęda" odzywa się rozgniewany spiker Himel.

Występ minął...

— Mało, mało! — krzyczymy.

I znowu uspokaja nas głos spikera:

— Z kolei odbędzie się występ chóru, a potem pójdziemy spać.

Długo nie mogliśmy zasnąć. Żołądki nam dokuczały. Ale dobre powietrze zrobiło swoje. Zasnęliśmy.

Hardi Beyer.

Reportaż ze stancji uczniowskiej przy ulicy X.

Często dzisiaj w gazctach umieszczają reportaże z różnych osławionych środowisk życia, których autorami są poważni korespondenci tychże gazet. Przeto i ja dobrze szanujący się i mający wysokie aspiracje (sic!) dziennikarz postanowiłem nadać dla naszego pisemka jakiś reportaż. Ale byłem w kłopocie. Brakło mi bowiem środowiska, skąd mógłbym taki reportaż napisać. W końcu jednak poszedłem po rozum do głowy i wykombinowałem sobie, że tym środowiskiem może być z powodzeniem typowa stancja uczniowska na terenie Ostrowca.

Przetó pewnego pięknego wieczoru (zasadniczo to prał wtedy deszcz niemiłosiernie, a błoto było po kostki) śmiało zakołatałem do drzwi jednej stancji, znanej mi już z opowiadania. Po wejściu jednak animusz ten trochę mnie odleciał, a gdy poczułem na sobie wyzywający wzrok czterech mieszkańców stancji, przeszedł mi po ciele mimowolny dreszcz tremy. Co innego bowiem koledzy w murach szkolnych, a co innego ci sami w swoim prywatnym mieszkaniu.

Z jąkaniem przeto i stękaniem wyłuszczyłem cel swego przybycia i natychmiast zdumiałem się efektem tego. Jak myśl bowiem szybko stanęły przede mną cztery krzesła, a czterej gospodarze gestami, których by im pozazdrościł nawet sam naczelny redaktor, gdyby widział, prosili, abym „łaskawie" usiadł. „Łaskawie" usiadłem tylko na dwóch. Na widok tej grzeczności pewność siebie znów mną owładnęła. Rzuciłem pytanie:

— Szanowni Panowie, coś z życia Waszego?. .

Hm... hm... Słodko i przyjemnie płynie nam tu życie... odpowiedział pierwszy.

— Czasem jest ono gorzkie, ale tylko wtedy, kiedy pijemy herbatę bez cukru — uzupełnił drugi.

Czasem też pesymizm wżera się w nasze serca, gdy nie mamy za co kupić chleba — dodaje trzeci.

— W całym życiu panuje u nas najskrajniejszy komunizm — zakończył czwarty. — Mamy stały rozkład dnia, ale nie zawsze się do niego stosujemy. Dysharmonię wprowadza jakaś zabawa, wycieczka na podbój serc niewieścich, wizyta.. Ale niechaj Pan Redaktor tego nie pisze...

Na dźwięk takiego tytułu podniosłem w górę głowę o całe trzy cale i dumnym wzrokiem spojrzałem dokoła.

Zobaczyłem cztery wygniecione łóżka (na pewno słoma stargana była w nich na pył), stół obłożony papierem, który całkowicie był zapisany jakimiś rachunkami, wyliczeniami i figurami geometrycznymi; krzesła sądząc z dwóch, na których siedziałem, posiadały wybitnie chwiejace się nogi; na ścianach wisiało parę wycinanek z „Kina"; w kącie stała jakaś półka, a na niej leżała istna kupa książek, zeszytów i różnych papierów. Wszędzie widać było „artystyczny" nieład. W międzyczasie informował mnie jeden z miłych gospodarzy, że niedawno byli radiopajęczarzami, mieli dobrze zakonspirowane radio, ale od czasu, jak wpadli z tego powodu w kolizję z gospodynią, z rozdartym sercem musieli zrezygnować z kulturalnych audycji radiowych. Odtąd urządzają czasem gospodyni „kocią muzykę", Chcieli mi nawet zademonstrować, jak to wygląda, ale przeszkodziłem im w tych zamiarach pytając się, co sądzą o dzisiejszej polityce euro-

pejskiej. Spojrzeli po sobie z widoczną konsternacją. Jeden z nich zaczął bąkać pod nosem, że jest ona niewyraźna, bo tam Blum coś knuje w Rosji, a Trocki we Francji; że Hitler prawdopodobnie odbędzie konferencję przyjacielską ze Stalinem w Moskwie; że w prasie zagranicznej podawane są pogłoski, jakoby p. min. Józef Beck miał jechać na Madagaskar w celu zajęcia tej wyspy jako kolonii polskiej itd., Po prostu osłupiałem słuchając tego wszystkiego. Aby zaś ochłonąć, zapytałem już zgoła z innej beczki:

— Jak się Panom podobał ostatni numer „Szkolnej ławy"?

— Owszem! owszem! — krzyczą chórem. — Dobra była nowelka „Przysięga" obdarzona zresztą pierwszą nagrodą; bardzo nam się podobał felieton „Walne Zebranie". Szkoda tylko, że nie było „Mówią, że..."

Coś tam obiecywałem im, że będę interweniował w tej sprawie nawet u samego naczelnego redaktora i wreszcie serdecznie dziękując za wywiad pożegnałem moich przemiłych gospodarzy.

m...a kl. VIII

Kącik dla psychologów.

Pamięć a inteligencja.

(artykuł dyskusyjny).

Bardzo często słyszy się dzisiaj zdania, że pamięć jest zdolnością, która w bardzo małym stopniu, a nawet wcale nie jest zależną od inteligencji. Dobrą pamięcią mogą być np. obdarzeni ci osobnicy, którzy są bardzo mało inteligentni. Na poparcie takiej tezy są przytaczane różne przykłady wzięte z życia. I tak np. w szkole znajdują się uczniowie, którzy przerabiany materiał doskonale wykują na pamięć, ale gdy przyjdzie na lekcji do dyskusji, lub w dyskusji na pogadance klasowej, bardzo rzadko głos zabierają, a nawet nie zabierają go wcale. A z tego można sądzić, że im uczeń posiada lepszą pamięć, tym bardziej jest ograniczony, tym mniej ma wyrobiony sąd, czyli tym mniejszą posiada inteligencję.

Bez wątpienia jest w tym dużo prawdy, ale nie trzeba znowu sądzić tak skrajnie. Według mnie pamięć jest wspaniałym czynnikiem, który kształci umysł, a więc wzbogaca inteligencję. Bo pamięć zawsze dostarcza środków i materiałów, z ktorych korzysta myśl. Im zaś więcej jest tych środków, tych materiałów, tym większa jest możność rozwoju intelektualnego. Człowiek bowiem obdarzony dobrą pamięcią może z powodzeniem porównywać to, na co patrzy, co przeżywa, co go otacza, z tym, co tkwi w jego pamięci oraz wysnuwać z tego pewne spostrzeżenia i wnioski dla swojej, czy też cudzej korzyści. Jego umysł krytyczny nabiera wtedy dużej subtelności, a zakres inteligencji powiększa się i rozwija.

Pamięć zatem idzie zawsze w parze z inteligencją Źle jest jednak. kiedy przerasta ona inteligencję, bo wtedy nie można zrobić z niej odpowiedniego użytku.

E.....y kl. VIII.

Recenzje muzyczne.

W ramach koncertu szkolnego (19. 1. 1937.) wystąpił p. Antoni Wolak—baryton i p. Mieczyław Hoffman—fortepian. W programie była muzyka romantyczna. W części wokalnej ze szczególnym aplauzem przyjęła młodzież pieśń Schumanna — „Dwaj grenadierzy". która na zakończenie koncertu została powtórzona. Słabiej wypadła „Serenada" — Schuberta, znana już młodzieży z innych koncertów. Dało się przy tym zauważyć, że śpiewak jakby gonił za efektem.

Nie można tego powiedzieć o p. Hoffmanie. Swój program odegrał on ze szczególnym cyzelowaniem każdego utworu. Od razu też zaimponował słuchaczom wykonując „Zaproszenie do tańca" — Webera oraz „Walca e-mol" —Szopena.

Całość koncertu wywarła dodatnie wrażenie.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Koncert szkolny (12 2. 1937.), którego wykonawcami byli: p. Fryderyk Herman—skrzypce i p. Alfred Müller—fortepian, był dobrze i starannie przez nich przygotowany. Liczyli się oni z tym, że młodzieży nie można byle czym zadowolnić, lecz należy dać jej coś naprawdę wartościowego i pięk-

nego, coś, co by przemówiło do niej i pociągnęło. Koncert poświęcono muzyce klasycznej i romantycznej. Program jego tak był ułożony, aby słuchacze mogli uchwycić różnicę, jaka zachodzi między tymi dwoma stylami. Utwory przeto były wykonywane parami: jeden klasyczny i jeden romantyczny. Spotkało się to z ogólnym uznaniem.

Gra p. Fryderyka Hermana wypadła nadzwyczaj efektownie. Wykazał on dużą technikę palcową („Campanella“ — Paganiniego) oraz mógł się poszczycić swoimi subtelnymi pociągnięciami smyczka („Marzenie“—Schumanna).

Nie zawiódł również p.Alfred Müller. Ogólnie podobał się „Marsz turecki“ — Beethovena w jago wykonaniu, który też został powtórzony.

Mówią, że...

...sekcja śniadaniowa wkrótce zbankrutuje, gdyż kl. II b. przynosi kawę w butelkach.

Klasa II G. M.

.. podobno ma wyjść niedługo z druku nowa uproszczona gramatyka języka łacińskiego, w/g kol. B..........., p. t. „Odmieniać, jak kto chce“.

Klasa IIIa G. M.

Do Czytelniczek i Czytelników!

JUŻ W NIEDŁUGIM CZASIE
REDAKCJA ORGANIZUJE

WIECZÓR LITERACKI,

POŚWIĘCONY

Cyprianowi Kamilowi Norwidowi,

na który złożą się:

DEKLAMACJE, REFERAT
I DYSKUSJA DO REFER..TU.

Wieczór ten jako pierwszy tego rodzaju zapowiada się dość ciekawie.

Dla Czytelników i Sympatyków „Szkolnej Ławy“ wstęp będzie

BEZPŁATNY.

Termin wieczoru zostanie później podany w specjalnych zaproszeniach.

REDAKCJA.

Rozrywki umysłowe.

Zagadka literacka

uł. A. N.

Za rozwiązanie 15 punktów.

				a	e	h	i	m	n	o	o	p	s	s			
			a	a	d	e	i	i	k	n	n	o	p	s	z		
				a	a	a	a	i	k	n	r	s	w	w	z		
			a	e	e	e	i	i	k	m	n	w	y	ż			
	a	a	a	c	e	k	ł	n	o	o	o	r	w	z	ż		
			c	e	e	h	i	o	p	r	s	s	y				
a	a	ą	ą	c	g	i	k	ł	n	t	w	ź					
		a	a	a	d	h	k	l	l	m	n	n	o	p	s	u	y
	a	c	ę	i	i	k	ń	o	s	ś	t	w	y	z			

Wpisać 9 tytułów książek autorów, podanych niżej. Rząd oznaczony da rozwiązanie. Autorowie: 1) Przybyszewski; 2) Rostworowski; 3) Wyspiański; 4) Berent; 5) Rydel; 6) Żuławski; 7) Staff; 8) Tetmajer; 9) Kasprowicz.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 11.3.1937.

Rozwiązanie zagadki muzycznej

z nr. styczniowego.

P	U	C	C	I	N	I				
S	C	H	U	B	E	R	T			
L	E	O	N	C	A	V	A	L	L	O
C	A	P	U	A						
G	R	I	E	G						
M	E	N	D	E	L	S	S	O	H	N

Rozwiązanie logogryfu.

P	R	O	T	E	S	T
A	L	K	A	Z	A	R
M	I	G	R	E	N	A
K	A	R	A	F	K	A
A	M	O	N	I	A	K
N	O	K	T	U	R	N
K	U	R	E	N	D	A
R	E	P	L	I	K	A
H	E	L	L	A	D	A
S	E	K	A	T	O	R

Uwaga:

Kol. Kol., którzy trafnie rozwiązali dotychczasowe zagadki, będą zawiadomieni osobiście.

KONKURS Nr 4.

Moje wesołe przeżycie.

Temat ten nie powinien Koleżankom i Kolegom nastręczać wielkich trudności, przeto spodziewamy się, że udział w konkursie będzie duży. Autorka lub autor najlepszej pracy otrzyma nagrodę pieniężną w wysokości 5 zł.

Ostateczny termin nadsyłania prac upływa dnia 1. 4. 1937.

Komunikat Bratniej Pomocy.

Niniejszym zawiadamy naszych Kolegów, że z dniem 10. 3. 1937. dotychczasowy Zarząd B. P. ustąpi, a władzę obejmie Zarząd nowy, którego prezesem został już obrany kol. Wiśniewski A.

Tegoż dnia wszystkie organizacje i agendy B. P. otrzymają swych nowych kierowników.

Nowemu Zarządowi składamy na tym miejscu serdeczne życzenia owocnej pracy samorządowcj.

Dotychczasowy Zarząd B. P.

OPIEKUNOWIE PISMA: Krasnowolska H. i Krzyk S.

PRZEWODNICZĄCY KOMITETU REDAKCYJNEGO: Makarewiczówna W., Pękalski J.

KOMITET REDAKCYJNY: Bystroniówna Z., Domański Z., Rduch B.

ADMINISTRACJA: Czerwonko Z., Lipińska A.

REDAKTOR NACZELNY: Pękalski J.

WYDAWCA: Bratnia Pomoc Uczniów Państw. Gimnazjum Męskiego w Ostrowcu

---

Numer zawiera 16 stron. Cena numeru 20 groszy.

CENY OGŁOSZEŃ: 1strona — 20 zł., $^1/_2$ strony — 10 zł., $^1/_4$ — 5 zł., $^1/_8$ — 3 zł., $^1/_{16}$ — 2 zł.

„SZTUKA"—Ostrowiec, Denkowska 28.